

I.441.986

JAK TRWOGA, TO DO BOGA

CZYLI

JAK BIAŁY ZAMIENIŁ SIĘ W MURZYNA

OBRAZEK Z ŻYCIA MISYJNEGO W 1 AKCIE.

(Z francuskiego uzupełniła i przerobiła P. W.)



NAKŁADEM SODALICJI ŚW. PIOTRA KLAWERA.

1931.



Adresy filij i biur Sodaliteji Klawerjańskiej:

Warszawa, ul. Warecka 10 m. 5. — **Kraków**, ul. św. Marka 25. — **Poznań**, ul. Szymańskiego 6. — **Wilno**, ul. Zamkowa 19. — **Częstochowa**, ul. Panny Marji 73. — **Krosno** (Małopolska). — **Kielce**, p. Marja Kasperska, ul. Śniadeckiego 16 m. 8. — **Gniezno**, p. Anna Potulna, Mieczysława 1. — **Bielsko**, Piłsudskiego 7. — **Łódź**, p. Ignacy Dubas, ul. Przędzalniana 55. — **Lwów**, p. Fedaszówna, ul. Zadwórzeńska 899, albo p. Berezowski Józef, ul. Kurkowa 65. — **Wrocław**, Hirschstrasse 33. — **Zug** (Szwajcaria), ul. św. Oswalda 15. — **Ameryka**, Sodality of St. Peter Claver, 3624 West Pine Blvd, **St. Louis Mo.**
Adres domu głównego: **Rzym**, Sodalizio di S. Pietro Claver, Roma (123), via dell'Olmata 16.
Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188. — Kraków 142.248. — Poznań 200.015. — Wilno 80.954. — Krosno 411.222.



OSOBY:

ANATOL DE LA FROUSSE, wydawca wolnomyślnego czasopisma.

OJCIEC SUPERJOR, MISJONARZ w stacji misyjnej w Kongo Afr.

MORMANNI, kapitan szalupy.

DAM, murzyn-posłaniec.

ARONGA, niewolnica.

Dwaj dzicy Pahuini.



1.441.986

SCENA I.

(Afrykański krajobraz nad rzeką Kongo — kilka palm, krzaków. Z daleka widać stację misyjną.)

(Na scenę wchodzi wolno z dzieckiem — na ręce, lub uwiązaniem w płachcie na plecach i zatrzymuje się na środku młoda kobieta: **Aronga** i mówi wolno, z rozpaczą):

Dolo ty moja, dolo, losie oplakany,
Bądź przeklęty, przeklęty! — O, srogie kajdany,
(Potrzasa niemi.)

Co mi ciężą nad siły, o straszna niewolo,
Przeklinam was, przeklinam... O, jak ręce bołą...
Przeklinam cię godzino, coś mi życie dała!...
Pocóżeś mnie rodziła, matko? — Takam mała
Była, gdy cię zabito pod razami bata
I zostałam już sama i na pastwę kata...
Życie, życie ty ciężkie, gdy się zdaje wiekiem
Każda chwila i nikt się, nikt się nad człowiekiem
Nie zmiłuje, nikt, nigdy, — pracuj dniem i nocą
Pod batogiem dozorca, pod jego przemocą...
Za cóż cierpię, — dlaczego, — cóżem zawiniła?...
Okruszyno ty moja, ty dziecino miła,
Czyż i ciebie los czeka taki straszny, srogi,
Czy i tobie w kajdany skują ręce, nogi
I gorzej jak psem będą tobą poniewierać,
Byś musiała jak matka z rozpaczy umierać

Każdej chwili, a jednak żyć w takiej strasznej
niedzi?...

O, dziecko, raczej śmierć ci zadam zaraz, prędzej,
Niżbyś miało żyć także w takiej poniewierce...
Mam zabić moje dziecko?... Ach, boli mnie serce,
Żal mi ciebie maleństwo, kocham ciebie przecie,
Ciebie, córuchno moja jedyna na świecie
Kocham! — Nie, nie zabiję! Nie mogę, nie mogę!
Żyj, biedactwo ty moje i dziel matki drogę!

(Patrzy w niebo.)

O, ty niebo płomienne od złotego słońca,
Czy wszędzie kędy ono świeci hen, od końca
Do końca świata, wszędzie, wszędzie jest tak
smutno?...

Czy wszędzie przemoc silnych dłonią swą
okrutną

Uciska biednych ludzi? O, powiedz, ty niebo,
Co tam jest poza tobą? Bo serca potrzebą
Pragnę, pragnę dobrego i jasnego ducha...

Misjonarz (w białym habicie, z krzyżem i różańcem u pasa, wchodzi cicho i kładzie jej rękę na ramieniu):

Nie myli cię, nieszczęsna, pragnień twych otucha!
Jest duch wielki: Bóg, — Stwórca i nieba i ziemi,
Co się lituje zawsze nad nieszczęśliwymi.

Aronga (zdumiona):

Ktoś ty, panie? — Coś mi rzekł? — Nie rozumiem
ciebie!

Misjonarz (z ręką wzniesioną):

Jam ci rzekł, że Bóg mieszka w chwale swojej,
w niebie,

Bóg, co stworzył świat wszystek i co dał nam
Syna,

By krwią Jego męczeńską zmyta była wina,
By nas wyrwał z rąk czarta i powiódł do nieba.

Aronga (w zachwycie):

Do nieba — rzekłeś panie? — A cóż robić trzeba,
By się dostać tam, panie? — Jakżebym ja chciała
Iść, kędy jest wielkiego Ducha jasna chwała!
Ale panie ty biały, patrzaj, wszak jam czarna,
To do jasnych nieb pewnie mnie tam nie
przygarną?

Misjonarz:

Gdy woda chrztu świętego twą duszę obmyje,
Ukochasz Zbawiciela i Świętą Maryję,
To, choć skóra twa czarną zawsze pozostanie,
Możesz zostać zbawioną i w niebie mieszkanie
Uzyskasz kiedyś, po śmierci... Tymczasem chodź
ze mną,
W sercu twojem jest smutek i w duszy twej
ciemno,
Do Sióstr białych ja ciebie wraz z dzieckiem
zabiorę.
Twe maleństwo jak widzę słabe jest i chore,
Siotra zajmie się wami, pouczy, pokrzepi;
Bóg zsyła ci ratunek, chodź, będzie ci lepiej!
Do Sióstr cię odprowadzę i wrócę za chwilę,
Bo mam dziś do przebycia ot, niejedną milę.

SCENA II.

(Krajobraz tensam).

(**Misjonarz z Arongą** wychodzą z jednej strony, drugą
stroną nadchodzą **Anatol** i **Kapitan**. **Anatol** w jasnym
ubraniu i kapeluszu, w jednej ręce parasol, w dru-
giej notes i ołówek.)

Anatol (drwiąc do **kapitana**): A oto uprzedził
nas tutaj Ojciec Superjor. Jak widzę zdobył ja-
kąś czarną owieczkę. Ha, ha, ha! Kapitanie,
wiesz pan, przyznam się panu otwarcie, iż wła-

ściwie celem mego przybycia w te strony, jest wykrycie prawdy. Odwiedziłem wczoraj Ojca Misjonarza, rozmawiałem z nim i — utwierdziłem się w podejrzeniu, które podziela wielu moich rodaków w Ojczyźnie.

Kapitan: Jakto panie redaktorze? Nie rozumiem! Do czego właściwie odnoszą się pańskie podejrzenia?

Anatol: Do czego? Ależ to jasne, jak na dłoni. To rozpisywanie się o nawracaniu murzynów, nieustanne żądania pomocy, pieniędzy,

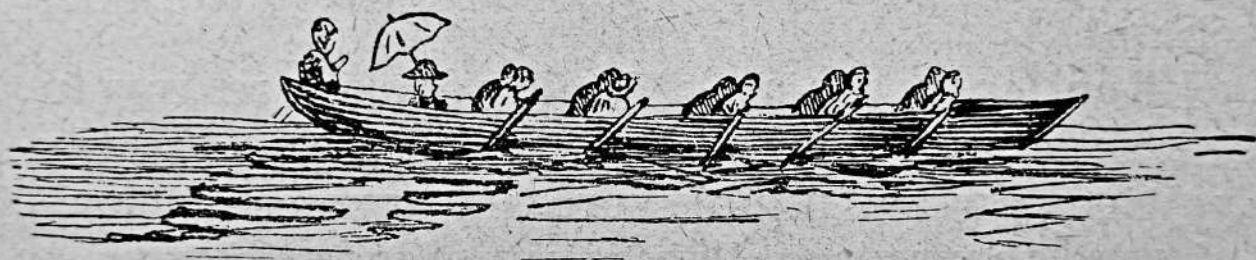


utyskiwania na obojętność białych względem czarnej rasy, to wyzysk panie i nic więcej! Opowiadał mi wczoraj Ojciec Misjonarz o tysiącu przykrościach, utrudniających tu życie. Że klimat jest niezdrowy, że grożą niebezpieczeństwem dzikie zwierzęta, węże, skorpiony, że dręczą moskity, w to wierzę. Ale pocóż w takim razie misjonarze tacy są żądni wrażeń, pocóż tu przybywają?

Kapitan: Poco? Ależ panie redaktorze, dla pozyskiwania dusz Bogu, dla nawracania pogan.

Anatol (ze śmiechem): Banialuki kapitanie, banialuki! Nie wierzę w to wcale, to tylko kłamliwy pretekst, nic więcej; zawracanie głowy

łatwowiernym. Ot, chce im się żyć cudzym kosztem, ale ja to wyświetlę, dam panu słowo, kapitanie, ukróczę nareszcie to wyludzanie pieniędzy ciemnym ludziom. (Grożąc w stronę, w którą oddalił się Misjonarz) Ej, ej, wielebny Ojcie, miej się na baczności! (Śmieje się) Ha, ha, ha, wiesz kapitanie, ten Ojciec też spryciarz nie-lada. Domyślił się widocznie, w jakim celu tu przybyłem i ot, nastraszyć mnie chciał, pozbyć się mnie, nim prawdę wyświetlić zdołam. Straszne rzeczy opowiadał mi o panującym tu rzekomo ludożerstwie, jak w r. 1907 dziki



szczep Pahuinów w okropny sposób zamordował jednego z misjonarzy. Naturalnie, że ja nie w ciemę bity, otumanić się nie dam i prawdę wykryję, rzecz całą zbadam i całej Europie oczy otworzę, by się w swej dobroduszości nadal oszukiwać nie pozwoliła.

Kapitan (wahajaco): Hm! Tak pan sądzi? A jednak panie redaktorze...

Anatol (przerywając mu): Co? Chcesz ich pan bronić? Ale ja i panu oczy otworzę, przekonam pana, że ta cała praca misyjna to tylko zamydlanie ludziom oczu, a o jakichś urojonych niebezpieczeństwach tu wogóle mowy nie-ma. Toć już kilka dni tu jestem, przepłynęliśmy najgroźniejsze miejsca nad Kongo i nic złego nam się nie stało. Wspaniała podróż, zu-

pełnie bezpieczna i nadzwyczajnie zajmująca; krokodyle zostawiły nas w spokoju i Pahuini nie napastowali nas wcale. Najgorszy to ten upał, całe szczęście, że zabrałem mój wielki parasol.

Kapitan (żałośnie pochrzakuując): Tak mi w gardle zaschło okropnie. Hm, hm, hm!

Anatol (podając mu butelkę): Służę panu! Napij się kapitanie, to cię orzeźwi! (Pija.)

Kapitan (pochrzakuując znowu): Hm, hm, hm! Do kroćset bomb, beczek! Jakby to powiedzieć?

Anatol: Co takiego? Co pan mówisz? Czy masz mi coś do powiedzenia? Mów, proszę, słucham!

Kapitan (wahająco): Panie redaktorze, my tu tak sobie, niby nigdy nic rozmawiamy, a prawdę powiedziawszy, mnie skóra na grzbiecie cierpie, bo to panie z Pahuinami nie przelewki.

Anatol (niepokojnie chwytając **kapitana** za ramię): Nic nie rozumiem! Mów pan jaśniej! Do czego pan zmierza?

Kapitan: Dziś w nocy umarł nagle wódz pahuńskiej osady — i...

Anatol: Wielkie rzeczy! Cóż mnie to obchodzi?

Kapitan (wolno): Całe nieszczęście, że właśnie w owej chwili przejeżdżała przez Kongo piroga, w której siedział biały człowiek, czyniący swym parasolem jakieś tajemnicze znaki. Zauważył to czarownik i dowodzi, że ów biały człowiek spowodował śmierć wodza.

Anatol (zaczyna szybko biegać): Kapitanie, co sądzisz? Czy nam coś grozi?

Kapitan (poważnie): Jestem pewny, że to się dobrze nie skończy. Jesteśmy zgubieni.

Anatol (biegając coraz szybciej): Kapitanie, ratunku! Co począć?

Kapitan (ściskając w ręce zegarek): Napewno mścić się będą za śmierć wodza, zabiją pana. A może i mnie to na sucho nie ujdzie, zabiorą mi ten piękny zegarek, który mi pan ofiarował.



Anatol (z oburzeniem): Ha! W takiej chwili pan myślisz o zegarku! Zgroza!

Kapitan (zirytowanym głosem): Bo i poco pan tu wogóle przybył? Cóż za dziwna chęć poznawania Pahuinów, tych ludzi dzikich, krwiożerczych. Toć pan przecież nie jesteś misjonarzem.

Anatol (chowając notes zdenerwowany): Ja misjonarzem? Ha, ha, ha! Tegoby jeszcze brakowało! (Po chwili) A możebyśmy się tu gdzieś

ukryli, przeczekali dni parę, aż się ci dzikusy trochę uspokoją, zapomną?

Kapitan (ziřytowany): Dobra rada, ani słowa! Czy masz pan zamiar umrzeć głodową śmiercią? Toć żywności starczyłoby nam ledwie na dwa dni.

Anatol (idzie z butelką w krzaki, bierze gałązkę palmową, odziera ją z listków i wkłada je do kieszeni).



Kapitan (wzruszając ramionami): Cóż to ma znaczyć? Pocóż to?

Anatol (nie przerywając czynności): A toć przyznam się, iż wolę przez cały tydzień żywić się palmowymi listkami, niż wsiąść znów na statek.

Kapitan (tupnawszy w gniewie): Pocóż pan do kroćset bomb, kartaczów przybył tu wogóle? Utrapienie z takimi podróżnikami!

Anatol (nie zważając na jego wzburzenie): A możeby można powrócić stałym lądem?

Kapitan (śmiejąc się ze złością i ironicznie): Ha, ha, ha! Także pomysł: „Stałym lądem!” A toć to tu dróg niema wcale. No i broni nie

mamy, moglibyśmy stać się pastwą dzikich zwierząt. Doprawdy, że chyba лихо jakieś tu pana przyniosło. Położenie bez wyjścia.

Anatol (po krótkim namyśle): A czy nie można nocy przejechać przez ową wieś?

Kapitan (znowu drwiąco): Nocą? Ależ teraz jest pełnia i nocy wogóle niema. Ach, panie, potrzebnyś tu był wśród Pahuinów, jak dziura w moście.

Anatol (z załamanemi rękoma siada bezradny na kamieniu): Co począć? Co począć? Jeżeli tu



pozostanę, grozi mi śmierć głodowa, — powrócę — schwycą mnie ludożercy. Czyż na to przybyłem do tego przebrzydłego kraju, by zginąć śmiercią męczeńską, jak ci fanatycy-misjonarze? Próżniaki! Toć dawno już powinni byli tych dzikusów ucywilizować, czyli jak oni mówią — nawrócić! I pomyśleć, że to właśnie ja, członek prasy wolnomyślniej, mam paść tutaj ofiarą. (Chwila milczenia, nagle zrywa się i zaciera ręce) Już wiem, już wiem! Znalazłem ratunek!

Kapitan (zdziwiony patrzy na niego): Co się panu stało? Czy skorpion pana ukąsił? W tej chwili coś zaradzę, przyniosę ziemię, wodę, — zaraz wracam! (Wybiega).

Anatol (oddychając z ulgą): Uf! A jednak nie od parady mam głowę na karku, w każdym wypadku umiem sobie poradzić, jak przystoi redaktorowi wolnomyślnego pisma! (Wyrzuca z kieszeni listki) Już nie potrzebuję żywić się tą surową zieleniną. Przemienię się w murzyna, stanę się Pahuinem! Jak się tu zabrać do dzieła? — Rozniecę ogień, spalę liście i będę miał sadze, piękne, czarne. Dalej do roboty, nie tracąc czasu. Żegnajcież mi moje białe ręce i różowe policzki! O, ale już się z kapitanem nie udam w te strony dzikie, niebezpieczne. (Oddala się.)

SCENA 3.

(Krajobraz niezmienny.)

1. Murzyn (wychodząc z za krzaków): Panie redaktorze! Co? Niema go tu? Gdzież się podział?

2. Murzyn (oglądając się): Był tu wraz z kapitanem, a potem widziałem z daleka, jak skoczył nagle i pobiegł do pirogi.

Anatol (wychodzi z za krzaków, twarz i ramiona czarne, plecy pocentkowane kilku czarnymi plamami. Na ramionach płótno): No i cóż sądzicie, czy przypuści teraz ktokolwiek, że jestem białym człowiekiem?

Murzyni (ukrywając śmiech): Nie, nikt, nigdy!

Anatol (wzdychając z ulgą): Uf! Jak gorąco! Ha, ha, ha! (śmieje się) Ja wam pieczeń zasolę wy głupi ludożerco! Szukajcież sobie teraz białego podróżnika, co wam waszego wodza o śmierć przyprowadził. (Ogląda ręce) Jak łatwo z białego stać się czarnym. Gdyby mnie teraz

zobaczył naczelny redaktor, poświęciłby memu pomysłowi ze trzy strony. Patentowy dowcip! Ale strasznie mi dopieka słońce w tym negliżu. Usnąć teraz, to niemożliwe. Chyba schronię się do szalupy. (Zrzuca płótno i wachluje się palmowym liściem.)

Kapitan (wchodzi, przygląda się Anatolowi, klepie go po ramieniu i śmieje się): No, wiesz pan, można być albo białym, albo czarnym, ale ta-



kim centkowanym nie, to nie uchodzi do kroćset! Trzeba to poprawić! (Do murzynów) Dalej chłopcy, ruszcie się! Krzeszcie ogień, dawajcie sadze. (Murzyni wybiegają.)

Anatol (bezlładnie opuszczając ręce): Nie udało się, sfuszerowałem! Lepiej już się okryję. (Zawiesza na plecach płótno.)

Kapitan (woła głośno): Dam! Don! Gdzież oni tak długo siedzą? Hej! Wracajcie, prędzej do kroćset! Co to, na Boga? Słyszać dzikie okrzyki. Panie, jesteśmy zgubieni, dzicy wykryli nas, już tu idą. Prędzej, prędzej, ukryj się tam, w krzakach! Włazże, właz prędzej!

Anatol (wsuwając się w krzaki drży i wzdycha): Idą tu, idą. Zabiją mnie, zjedzą.

Kapitan (nasłuchując): O, pytają o białego człowieka, żądają, aby go im wydać. Panie, pożegnaj się z życiem, niema ratunku, zginiesz!

SCENA 4.

(Wechodzą dwaj **Pahuini** ubrani w czarne trykoty — kolorowe przepaski na biodrach, uzbrojeni, niosąc gałęzie i krzesiwo, wołają głośno): Dawajcie białego człowieka, gdzie jest biały człowiek?

Kapitan (siłąc się na spokój): Kogo szukacie? O jakim białym mówicie?

1. Pahuin (groźnie): Dawaj go, dawaj! Tego który jechał z tobą przez Kongo. Coś z nim zrobił, gdzie go masz? Dawaj, pókiśmy dobrzy! Tu wnet za nami przyjdzie cała gromada. Nie usłuchasz, to my i z tobą inaczej pogadamy, rozumiesz? Dawaj go!

Kapitan (łagodząco): Ależ kochani sąsiedzi, nie wiem doprawdy, dokąd on się udał? Cóż on mnie obchodzi? Chciał, abym go przewiózł, więc go przewiozłem. Wiecie, że biali włóczą się wszędzie.

Anatol (niespokojnie wychylając głowę z krzaków): Ach, żeby tylko nie zobaczyli moich pleców! (Okrywa się.)

2. Pahuin (wskazując **Anatola**): A kto to tam? Czy to twój niewolnik?

Kapitan (niedbale): Taaak!

1. Pahuin: Czy chciałbyś go sprzedać?

Kapitan: Nie, tymczasem nie jeszcze.

Obydwaj Pahuini (klasząc w ręce i krzycząc głośno): Wojowo! To my jego zabierzemy! Niech on odpokutuje za tego białego, co stał się powodem śmierci wodza, a i ty w ten sposób będziesz ukarany, żeś tego białego około naszej wioski przewoził.

Anatol (w rozpacz): Wielki, miłosierny Boże! aby tylko nie zobaczyli moich pleców!

(**Kapitan**, zasłaniając sobą **Anatola**.)

1. Pahuin: Oddaj go, albo... (Celuje w kapitana.)

2. Pahuin: My go i tak dostaniemy! A jaka doskonała potrawa z niego będzie! (Nachylając się w stronę Anatola) Ty, słuchaj, czy wolisz być ugotowany, czy upieczony?

Anatol (wzdycha i ręce wyciąga): O, miłosierdzia, miłosierdzia! (Do siebie) Teraz widzę i prze-



konałem się, że misjonarze nie kłamią, twierdząc, że narażeni bywają na śmierć z rąk ludożerców. (Płótno spada mu z pleców tak, że te są widoczne) Miłosierdzia! Aby tylko nie spojrzeli na moje plecy! (Pada na kolana i modli się): Dobry Boże, przebacz mi wszystkie moje winy! O wy biedni oczerniani misjonarze przebaczenie mi! Tu, na kolanach przysięgam Ci Wielki Boże, że jeśli stąd żywy wyjdę, odwołam w gazetach wszystko, co ujemnego napisałem o misjonarzach!

Pahuini (którzy w tym czasie naradzali się z sobą, zbliżywszy się, zobaczyli plecy **Anatola** i w przerażeniu wołają): Ospa, ospa! On chory na ospę! Fe, fe! (Krzywią się i z wyciągniętymi rękami uciekają.)

Anatol (z trudem wysuwa się z pod krzaka, powstaje i wywija płótnem, jak chorągwią): Dzięki Bogu! Wyratowany jestem, wyratowany! Już nie będę potrawką! Wiwat! Żyję i żyć będę!

Kapitan: Cicho! Bo jeszcze posłyszają i wrócą.

SCENA 5.

Misjonarz (wchodząc przeciwną stroną): Co się tu dzieje? Takie słyszałem okrzyki? (Patrząc na **Anatola**) A to co za maskarada? Panie de la Frousse, czyżby to pan był?

Anatol (chyląc się do rąk Misjonarza): Ojciec wielebny, co ja za mękę przeżyłem! Życie moje wisiało na włosku. Powodowany obawą, iż je utracę, pomalowałem się na czarno. Cudem chyba z rąk dzikich cało wyszedłem. Ojciec, nie wierzyłem w istnienie Boga, wyśmiewałem was, misjonarzy! Śmierć zajrzała mi w oczy i przewidziałem! Ojciec, pragnę oczyścić moje sumienie, wszystkie me grzechy wyznać przed tobą!

Misjonarz (podnosząc **Anatola**): Wstań, mój synu, wstań! Nie tu miejsce na spowiedź! Chodź ze mną do domu misyjnego! Tam obmyjesz i ciało swoje i duszę, a potem wracaj do kraju i dziękuj Bogu, że z czarnego, cudem łaski Jego, stałeś się znowu białym.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA



Marja Teresa Ledóchowska

**Założycielka i pierwsza Kierowniczka generalna
Sodalicji św. Piotra Klawera,**

zmarła w Rzymie w opinii świętości d. 6 lipca 1922 r.

Życiorys

112 stron w ósemce, z 22 ilustracjami z jej życia i działalności, w pięknej białej oprawie z płótna — tylko 1.50 złp., ameryk. cts. 25, w oprawie karton. 1.30 złp., am. cts. 20.

(Do nabycia w Filjach i Biurach Sodalicji św. Piotra Klawera; adresy na drugiej stronie okładki.)

Polecamy

zajmujące broszurki, wydawnictwa Sodalicji
św. Piotra Klawera:

Dla Afryki (odczyt M. T. hr. Ledóchowskiej). — 10 gr.

Słowem i pismem. — 30 gr.

Od chaty do chaty (dramat). — 50 gr.

Wezwanie Boże (dramat, zwłaszcza dla panien). — 40 gr.

Św. Piotr Klawer, apostoł murzynów. — 10 gr.

Dla Boga i dusz! — 60 gr.

Roczniki poprawne „**Echa z Afryki**“.

Dla dzieci i młodzieży:

Wiersze misyjne — Ks. Mateusza Jeża. — 1.50 złp.

Szkaplerz niewolnika. — 10 gr.

3 „Tomiki misyjne“ (cena każdego tomika) — 10 gr.

Historja Maryni, która pragnęła być sławną. — 10 gr.

Franuś-Zbieracz. — 10 gr.

Tim, chłopiec murzyński, dramat. — 40 gr.

Tarczyjusz, dramat. — 30 gr.

Głód w Afryce, dramat. — 40 gr.

Roczniki „Murzynka“.



12602 *

30 CZER 1931

